

„Jakieś obce smoki” - rozmowa z prof. Jarosławem Markiem Rymkiewiczem

„Nazywanie Polaków, którymi owładnęła mongolska idea, lemingami czy jakoś podobnie laskawie – traktowanie, poprzez tę nazwę, całej tej formacji jako czegoś trochę żalosego, niemal zabawnego, właściwie sympatycznego – to jest wielki błąd językowy, błąd niedopuszczalny” – z prof. Jarosławem Markiem Rymkiewiczem rozmawia Joanna Lichocka.

Można właściwie rzec, że jesteśmy w niezłej sytuacji. Mamy już jasność – rewolucja Solidarności przegrała, została zatrzymana 13 grudnia 1981 r., wszystko to, co działo się potem, było mniej lub bardziej kontrolowane przez komunistów i dziś są oni panami sytuacji. Jesteśmy jakby w punkcie wyjścia.

Bardzo dobre radykalne rozpoznanie – i trzeba je wreszcie przyjąć, żeby zrozumieć coś z tego, co się teraz w Polsce dzieje. Trzeba je przyjąć przede wszystkim po to, żeby wiedzieć – co mamy robić dalej. Jak się ratować oraz uratować. Ale ja, Pani Joasiu, jestem jednak trochę innego zdania niż Pani. Mamy, owszem, całkowitą jasność – w tej sprawie, o której Pani mówi. Przegraliśmy, a to była wielka bitwa o wszystko, a więc przegraliśmy wszystko 13 grudnia, rewolucja Solidarności nie powiodła się, jeszcze jedno polskie powstanie zostało zduszone siłą, brutalnie przez dzicz moskiewską spacyfikowane – i Polską rządzą teraz, rządzą nadal ci sami ludzie, którzy zarządzili nią w epoce PRL-u. Może z czasem oni trochę się zmienili, nawet ucywilizowali (w PRL-u też się z czasem, z dziesięciolecia na dziesięciolecie, trochę zmieniali, cywilizowali), ale to jest ta sama formacja polityczna i duchowa. Mówiąc inaczej i wyraźniej: to nie jest polska formacja polityczna i polska formacja duchowa. To jest obce. To jest coś w rodzaju – odwołam się tu do mojego ulubionego filmu – coś w rodzaju ósmego pasażera „Nostromo”. Jakieś **obce** smoki. Jeszcze inaczej: to są namiestnicy czegoś, przysłani tu przez coś, po to, żeby czymś tu zarządzać – żeby nas, powolutku-powolutku, zlikwidować; żebyśmy, powolutku-powolutku, zniknęli w smoczej paszczy. Smocza paszcza otwiera się, zaglądamy tam i co widzimy? Otóż to. W tym miejscu kończy się jasność i zaczyna kompletna ciemność – nie wiemy, skąd się oni, ci obcy, tutaj wzięli, kto ich tu przysłał, kto ich kontroluje oraz, nade wszystko, nie wiemy, czym oni tutaj zarządzają – co to jest za twór polityczny, państwowy, który tu założyli w roku 1989 i którym teraz władają. W PRL-u to było jako tako jasne – przysłali ich Moskale (zwani wówczas Sowieci – tę nazwę można już wycofać), a twór był moskiewską kolonią czy moskiewskim protektoratem. A teraz domyślamy się tylko, jaki jest cel tego zarządzania: mamy zostać zlikwidowani, mamy zniknąć. Ale dlaczego, w czym interesie, kto to zarządził i komu o to chodzi? Ktoś niewątpliwie chce, żeby Polski nie było. To, co stało się 10 kwietnia pod Smoleńskiem, jasno tego dowodzi. Ale kto tego chce i dlaczego? I do jakiego stopnia ma jej nie być? Czy całkowicie? Nie wiadomo. Nie wiemy zatem niemal niczego. Ciemności jest więc znacznie więcej niż jasności – jasności tylko troszeczkę. Jeszcze tylko dwa zdania w tej sprawie. Ostrzegałbym tu przed takimi rozpoznaniem jak to Grzegorza Brauna – że Polską (tym, co może jeszcze jest lub mogłoby być Polską) rządzi teraz pięć obcych wywiadów. Czy może sześć. To jest rozpoznanie – niech mi Pan wybaczy, drogi Panie Grzegorz – niepotrzebnie zasłaniające stan rzeczywisty, czyli bałamutne. Polską rządzą teraz ciemne idee – idee postnarodowych nihilistów, którzy chcą Polskę i Polaków zlikwidować. Trzeba te idee rozpoznać – żeby je zniszczyć. Trzeba się zatem wprzód dowiedzieć, kto i gdzie je produkuje, i kto je tutaj, i na czyje polecenie, i za czyje pieniądze, rozpowszechnia.

Postkomuna. Dziś ma telewizyjną twarz Donalda Tuska. Nie – postkomunizm, ale właśnie postkomuna, z zapisaną w tym słowie nonszalancją wobec języka, kultury, wartości, zasad. To słowo kolokwialne, ale oddaje – jak mi się zdaje – charakter rządów Rychów i Zbychów zblatowanych z częścią ludzi dawnej opozycji.

I tu Pani ma rację – to jest postkomuna. Ale właśnie w tym miejscu – kiedy mówimy: postkomuna, postkolonializm, państwo postnarodowe czy posteuropejskie, a społeczeństwo posthistoryczne – w tym miejscu wychodzi też na jaw nasza rozpaczliwa bezradność językowa (a zatem i duchowa) wobec tego, co stało się w ostatnich trzech dziesięcioleciach i co teraz dzieje się w Polsce. Nie potrafimy nazwać obecnej Polski, ustalić, co to jest za twór, opowiedzieć, jaka jest nasza tutejsza sytuacja. Nie rozpoznajemy ani samych siebie, ani naszego losu – ta bezradność wobec losu, bezradność językowa, prowadzi też do tego, że nie wiemy, co nas czeka. Nie potrafimy zobaczyć i ująć w słowa naszej przyszłości. Mój trzyletni wnuk, Ignacy, przybiega do swojego ojca, wydaje z siebie straszliwy ryk, a potem, uznając, że już Wawrzka dostatecznie przestraszył, uśmiecha się i mówi spokojnie: – To jest język potworski. – To słowo wymyślone przez Ignacego dobrze ujmuje to, z czym mamy teraz w Polsce do czynienia. W telewizorach, w gazetach, na konferencjach prasowych potwór przemawia do nas językiem potworskim. Nasz tutejszy smok ryczy – może zawiadamia nas, że zostaniemy skonsumowani – a my jego straszliwy ryk próbujemy wyrozumieć, przetłumaczyć przy pomocy różnych dziwnych terminów: postkolonializm, postkomunizm, a może posthistoria czy coś w tym rodzaju. Smok, oblizując się po konsumpcji, powiada zaś: – Mówię językiem potworskim, więc nie musicie, a nawet nie możecie mnie rozumieć. – Pan Jarosław Kaczyński mówił niedawno, że to, co tu mamy, to jest kondominium. Jak rozumiem: moskiewsko-pruskie. Ja próbowałem wytłumaczyć sobie Polskę jako twór postkolonialny, była moskiewską kolonią. Teraz porzucam ten język – uważam, że dałem się zwieść pewnej modzie intelektualnej, językowi amerykańskich naukowców. Polska to nie jest ani państwo postkolonialne, ani kondominium. Tu się coś innego dzieje, coś groźniejszego. Nasi wrogowie – tutejsi, miejscowi wrogowie Polski i Polaków – ja ich nazywam naszymi wewnętrznymi Moskalami – to nie jest formacja postkolonialna. To jest coś innego – coś, co się załęgło i odwiecznie istnieje w głębi polskiej duszy. No może nie odwiecznie, może od jakichś trzystu lat – od pierwszych lat XVIII wieku, kiedy to wojska cara Piotra I weszły w granice Rzeczypospolitej. To prawdopodobnie właśnie wtedy pewna część wolnych Polaków, obywateli Rzeczypospolitej, uznała, że można żyć w mongolskiej niewoli, pod carskim knutem – i całkiem nieźle, całkiem przyjemnie w tej niewoli prosperować. Potem ta mongolska idea – że bezpieczniej, czyli lepiej jest być carskim niewolnikiem niż wolnym Polakiem, polskim anarchistą – ta idea, zagnieździwszy się w duszy polskiej, rozrastała się i szukała dla siebie, przez wieki, różnych politycznych, ideowych, a nawet estetycznych, ale przede wszystkim życiowych, praktycznych uzasadnień. Opisywała tę złowieszczą ideę, tę polsko-ruską formację duchową polska literatura, opisywali ją Stefan Żeromski i Eliza Orzeszkowa. Byli tym porażeni i przerażeni. **Nazywanie teraz tych Polaków, którymi ovladnęła ta mongolska idea, lemingami** czy jakoś podobnie łaskawie – traktowanie, poprzez tę nazwę, całej tej formacji jako czegoś trochę żalosego, niemal zabawnego, właściwie sympatycznego – to jest wielki błąd językowy, błąd niedopuszczalny.

Lemingi to ci, którzy przyjechali z małych miasteczek i wsi do wielkiego miasta, znaleźli tu pracę, i którym się wydaje, że najważniejszym problemem w Polsce jest wysokość rat kredytów i legalizacja marihuany. Dają się regularnie nabierać na PO i Palikota. Czym innym jest chyba jednak grupa ludzi tworząca obóz władzy, ona, owszem, trzyma rząd dusz lemingów, różni się jednak od tych nieszczęsnych postaci. Lemingi, przynajmniej w klasycznym znaczeniu tego pojęcia, to pogubione, nie za dużo wiedzące i jeszcze mniej rozumiejące dzieci III RP. Wewnętrzni Moskale – jeśli użyć Pana terminologii – mają klucz do ich wyobraźni i sposobu myślenia, przez media, instytucje kultury, finanse. Widać w różnych

miejscach, jak ludzie starego systemu, różni funkcjonariusze medialni próbują rozciągnąć to pojęcie na przykład na dobrze ustawionych ludzi nomenklatury PRL-u. Ale klasyczny leming – jak mi się zdaje – jest po gwałtownym awansie z małej wioski i ogląda TVN.

Pomiędzy kimś, kto jest, jak Pani to nazwała, funkcjonariuszem medialnym, a kimś takim, kto wziął kredyt w szwajcarskich frankach i chcąc utrzymać się na powierzchni życia, musi być posłuszny tym, którzy mają władzę (czyli musi być posłuszny telewizorowi), jest oczywiście znaczna, nawet olbrzymia różnica – jeśli chodzi o pozycję społeczną. Różnica duchowa jest minimalna albo żadna – wszyscy oni, i ci, co gadają w telewizorze, i ci, którzy bezmyślnie wierzą w to, co gadają ci gadający, są niewolnikami. A jeśli są niewolnikami, no to zdradzili, wyzbywając się wolności, najświętszą, najważniejszą, fundamentalną ideę naszej Rzeczypospolitej. Tym samym zdradzili wspólnotę wolnych Polaków – nas zdradzili. A jeśli nas zdradzili, no to mamy poważne dziejowe pytanie – co należy zrobić ze zdrajcami. Jaki ma być los tutejszych niewolników mongolskiego cara. Dlatego powiedziałem, że tu się dzieje coś bardzo groźnego. Bo to nie może zostać tak, jak jest – nie możemy współżyć na naszej ziemi ze zdrajcami, z wieloma pokoleniami zdrajców. Polska nie może być własnością tutejszych wewnętrznych Moskali, nawet jej resztki, jeśli to są resztki, nie mogą stać się ich łupem. Polska jest dla Polaków. Oczywiście, nie mam na myśli jakichś etnicznych Polaków, bo takich pewnie w ogóle nie ma, a sam jestem raczej etnicznym Tatarem, z tatarskiego rodu, który kiedyś osiedlił się pod Mariampolem i Winksznupiem. Albo jestem, jeśli ktoś woli, etnicznym Niemcem, z rodu, który osiedlił się na granicy rosyjsko-pruskiej. Ale wróćmy do rzeczy – co zrobić z tymi, którzy nie chcą już być Polakami? I czy w ogóle coś możemy jeszcze z nimi zrobić? Bo może jest tak, że oni są tu już w większości? I że Polacy, powolutku-powolutku, w sposób ewolucyjny, a więc niemal niedostrzegalny, tracą swoją polską tożsamość? Obcy smok nas pożera i już wielu pożarł? Poruszamy się w ciemności, weszliśmy w jakąś noc historyczną, a więc nawet i tego nie wiemy – jak wielu nas jest i czy jest nas tyłu, że damy sobie radę z wewnętrznymi Moskalami. Dobrze byłoby przeprowadzić jakieś sondaże, które powiedziałyby nam, ilu jest jeszcze w Polsce prawdziwych Polaków (nie etnicznych, ale prawdziwych – to znaczy wiernych Polsce, jej wielkiej idei), ale wszystkie sondaże teraz kłamią, z samej ich smoczej natury są kłamliwe, więc i tego się nie dowiemy.

Jeszcze pięć lat temu diagnozy, że Polacy mogą utracić swoją tożsamość, by Pan nie postawił.

Bo pięć lat temu wszystko wyglądało inaczej – wyglądało na to, że wiemy, co się wokół nas dzieje – i że to jako tako rozumiemy. To ta ciemność, o której mówiliśmy na początku – to ona powoduje, że nie wiadomo, kto jeszcze jest Polakiem, a kto już nim nie jest. Nie wiadomo też, w tej ciemności, co to znaczy być Polakiem i do czego to zobowiązuje.

Nie wiadomo również, czy jakaś tożsamość, przynależność narodowa jest w ogóle potrzebna. Bo przecież polityk lansowany przez „Gazetę Wyborczą” i część postkomunistycznego establishmentu na nowego lidera obozu władzy i niemal co dzień bywający w głównych telewizjach mówi – musicie wyrzec się polskości. Mówi to tak po prostu, publicznie.

Spróbujmy więc, próbując wydostać się z ciemności, powiedzieć, co to zawsze znaczyło i co to jeszcze znaczy – być Polakiem. Dwie są sprężyny, potężne sprężyny życia, które poruszają niewolniczą społeczność, żyjącą tuż obok nas, wokół nas, na granicy polskości, obie ukryte i utajone – nikt nie chce o nich mówić, nawet wiedzieć nikt o nich nie chce. Pierwsza sprężyna to Strach. Druga sprężyna to Tchórzostwo.

To właśnie te dwie ukryte sprężyny decydują o tym, że ci, którzy wyrzekli się (albo chcą się wyrzec – to nie takie łatwe) polskiej tożsamości i zdradzili wielką ideę wolności, ideę, która powołała do istnienia

Rzeczpospolitą, stają się, bo muszą się stać, niewolnikami. Strach mówi, że przylecą samoloty i będą bombardować, i wjadą czołgi, i znów będą strzelać, będą pożary i zgliszcza, i będą egzekucje, i znów poleje się krew, i znów będzie nędza. Tchórzostwo mówi, że trzeba będzie wybierać, uciekać lub zostać, wziąć udział lub nie wziąć udziału, coś zaryzykować, może coś stracić, może nawet życie. Tchórzostwo mówi, że najlepiej nie ryzykować – najlepiej pokornie godzić się na wszystko, co przynosi życie, czyli, otóż to, zostać niewolnikiem. Można oczywiście powiedzieć, że Strach i Tchórzostwo są zakodowane w głębi istnienia naszego gatunku, nawet więcej, w głębi wszelkiego życia – zając boi się jastrzębia, a wiewiórka ucieka przed kotem. Nawet rośliny się boją. No dobrze. Ale wolność to jest właśnie to, a nawet tylko to, co mówi nam, że nie wolno poddać się swojemu Strachowi i trzeba zapanować nad swoim Tchórzostwem. Wtedy zapanuje się nad swoim życiem i będzie się wolnym człowiekiem. A jeśli mówi nam to nasza wolność, to znaczy, że mówi nam to nasza polskość. Właśnie dlatego wiele wieków temu stworzyliśmy tu, na tej ziemi, państwo odwiecznej (teraz już odwiecznej) wolności – Rzeczpospolitą Wolnych Polaków.

Mówi Pan, żebyśmy nie mieli złudzeń – błądzimy w ciemności, a więc nie radzimy sobie, po PRL-u okazaliśmy się zbyt słabym narodem, by mieć niepodległość. A jednocześnie oczekuje Pan od Polaków, którzy mają świadomość albo przecucie tego, o czym Pan mówi, i biorą ostatnio tak licznie udział w ogromnych manifestacjach, twardych decyzji.

Te manifestacje mówią wyraźnie, że jest w Polsce społeczność, i to bardzo liczna, która pragnie zachować swoją przynależność narodową i znaleźć jakiś sposób na odbudowę narodu i państwa. Fundamentalne musi być rozpoznanie, co w tej sprawie da się zrobić. Trzeba – jeśli chcemy z tej ciemności, z tej dziejowej niejasności, w której obecnie żyjemy, wyjść na drogę, która doprowadziłaby nas do niepodległości – zwrócić się do przeszłości i szukać sytuacji analogicznych lub choćby trochę tylko podobnych do tej, w której teraz się znaleźliśmy. Polacy, pozbawieni swojego państwa, kilka razy w dziejach nowożytnych znajdowali się na krawędzi istnienia, nawet mogło się wydawać, że już znikają i że niebawem w ogóle ich nie będzie. Ale zawsze, po klęskach, które stawiały ich na tej krawędzi, odnajdywali sposób, by się przemienić i odbudować swoją tożsamość, którą już tracili. Myślę o wszystkich powstaniach narodowych, które często przedstawiane są teraz jako okropne nieszczęścia i straszliwe klęski, a które ja uważam za wielkie polskie zwycięstwa.

Oficjalna wersja rządzących elit brzmi, że to nieodpowiedzialne, szkodliwe marzycielstwo Polaków. Wypowiedzi niektórych rządowych publicystów właściwie niczym się nie różnią od wykładni obowiązującej po Powstaniu Styczniowym, a prezentowanej nam przez carskich urzędników.

„Podłe powstanie” – tak mówią, kilkanaście lat po Powstaniu Styczniowym, zruszczeni bohaterowie opowiadania Stefana Żeromskiego „Echa leśne”. Wcale bym się nie zdziwił, gdybym teraz usłyszał w reżimowej telewizji takie sformułowanie. No bo to przecież było podłe – wszyscy zginęli lub poszli na Sybir. Jak tak można – przelewać niepotrzebnie krew i ginąć za Polskę – kiedy można żyć wesoło i bawić się na salonach. Chyba tylko jakiś podlec nie chce żyć wesoło i wzywa do umierania. Telewizor z pewnością tak właśnie teraz myśli swoim przygłupim telewizyjnym rozumem. Historyczna prawda jest zaś taka, że każde nasze powstanie, każde zachwianie nie tylko polskiej tożsamości, ale w ogóle polskiej możliwości istnienia – przez pacyfikację, masowe zsyłki na Sybir, przez przelew krwi – każde powstanie, mimo że każde było militarną klęską, było zwycięskie. Wszystkie nasze wielkie powstania były wielkimi zwycięstwami polskiej cywilizacji. Było bowiem tak, że po każdym powstaniu, po każdym rozlewie krwi polskość odradzała się i przemieniała. Tak było po Konfederacji Barskiej, po Powstaniu Listopadowym, tak było po tym najstraszniejszym z powstań, Powstaniu Styczniowym, i tak było po Rewolucji 1905 roku. Mimo upływu krwi, a może dzięki niemu, mimo straszliwych moskiewskich prześladowań, zniszczeń materialnych i duchowych,

następowało odnowienie polskiej cywilizacji. Za każdym razem przemieniała się ona w coś w swoim sposobie bycia nowego, nieoczekiwanego. Dlaczego? Nie wiem. W tym jest jakaś polska tajemnica – tajemnica polskiego na tej ziemi bytowania. Może to jest tak, że gniew i krew – i cierpienie, i pragnienie zemsty – przebudowują dusze ludzkie. I może dlatego – po takiej przebudowie duchowej, przebudowie duszy całego narodu – zmienia się też, bo musi się zmienić, cywilizacja, którą on tworzy i w której żyje. Po Powstaniu Styczniowym i po Rewolucji 1905 roku, i po Powstaniu Warszawskim dusza polska nie mogła przecież wyglądać tak, jak wyglądała przed tymi strasznymi wydarzeniami – musiała sprostać temu, co się wydarzyło, przyjąć to do wiadomości, uleczyć się ze swoich cierpień, dać sobie radę ze swoim bólem i gniewem, a więc, w konsekwencji, musiała też wypracować jakieś nowe sposoby swojego istnienia oraz swojej artykulacji. W tym właśnie należałoby upatrywać przyczynę radykalnych przemian cywilizacyjnych, które następowały po naszych powstaniach narodowych. Ci, którzy ginęli, nie wiedzieli, jakie skutki będzie miała ich ofiara – nie wiedzieli bowiem, jak skorzystają z ich ofiary i co zrobią ze sobą ich potomkowie. Ale przecież ginęli dla nich – żeby ci potomkowie mogli żyć inaczej, niż oni żyli. Chęć przemiany życia, przemiany duchowej i cywilizacyjnej, nazywać – jak to się teraz czyni – szaleństwem lub szkodliwym marzycielstwem – to jest nikczemne. Także głupie i źle świadczące o poziomie umysłowym tych, którzy to robią.

Pod Chromakowem, 10 sierpnia 1863 roku, stu dwudziestu powstańców po nieudanym starciu z rosyjskim oddziałem schroniło się w zabudowaniach gospodarczych folwarku. W stodole czy owczarni. Otoczyli ich Moskałe, podpalili budynek, spalili wszystkich żywcem. Tam zginął mój wujeczny prapradziadek. Zachował się zbiorowy akt zgonu w księgach parafialnych. Podaję w wersji oryginalnej: „Działo się we Wsi Lutocinie dnia jedenastego Sierpnia Tysiąc Ośmset Sześćdziesiąt Trzeciego roku o godzinie dziewiątej rano. Stawili się Andrzej Szczesiak lat trzydzieści i Marcin Dobies lat trzydzieści jeden mający obydwu gospodarze w Lutocinie zamieszkali i oświadczyli że w dniu dziewiątym bieżącego miesiąca i roku o godzinie dwunastej w południe Umarło osób wogóle sto dwadzieścia, których imiona, nazwiska, wiek i miejsce urodzenia i z kogo stawającym niewiadomo. Po przekonaniu się naocznie o zejściu ich, Akt ten stawającym przeczytany, przez Nas podpisany został. Stawający pisać nie umieją. X. Wincenty Tabędzki Wikaryusz Lutociński specjalnie delegowany przez Biskupa Nominata Płockiego do podpisywania aktów Stanu Cywilnego”.

Kilka miesięcy wcześniej, w lutym tegoż roku 1863, urodziła się Maria Rodziewiczówna. Rok później przyszedł na świat Stefan Żeromski. Minęło jeszcze trzy lata i w roku 1867 urodził się Józef Piłsudski. Można ich nazwać – a wraz z nimi tych wszystkich Polaków, którzy urodzili się w połowie lub w drugiej połowie lat sześćdziesiątych – pokoleniem Powstania Styczniowego. Jak żyli i co zrobili w życiu, oraz kim się dla nas później stali – to wszystko zostało bowiem zdeterminowane, można powiedzieć: zaprogramowane przez krwawe wydarzenia lat 1863–1865. To było pokolenie, które, korzystając z doświadczeń lat sześćdziesiątych – doświadczeń Powstania, ale i doświadczeń pacyfikacji – miało wymyślić i stworzyć nowy kształt polskiej cywilizacji – nadać nowe kształty życiu polskiemu. Dokonało tego dzieła. Józef Piłsudski zakończył je, stając w roku 1918 na czele państwa polskiego, odrodzonej Rzeczypospolitej, która – zwrócona i ku przeszłości, i ku przyszłości – miała być formą nowej polskiej cywilizacji. Gdyby – mówiąc metaforycznie – nie tych stu dwudziestu spalonych w stodole, o których Pani opowiada, gdyby ich tam, pod Chromakowem, w sierpniu, Moskałe nie otoczyli i nie spalili, gdyby nie wszystkie inne masakry, gdyby nie krew polska wtedy przelana, nie byłoby pokolenia roku 1863 – pokolenia zaprogramowanego przez ten rok. Rodziewiczówna, Żeromski i Piłsudski mieliby jakieś zupełnie inne (teraz dla nas niewyobrażalne) doświadczenia i mieliby jakieś zupełnie inne życiorysy – pewnie opuściliby Polskę i zamieszkaliby, nie chcąc pogodzić się z postępującą i coraz obrzydliwszą rusyfikacją, gdzieś na emigracji. Wszystko wyglądałoby więc zupełnie inaczej, Polska, przez następne sto i dwieście lat, wyglądałaby zupełnie inaczej. A i Pani życie, Pani Joasiu, i moje – bo i to trzeba

wziąć tu pod uwagę – wyglądałoby zupełnie inaczej. W roku 1914 Pierwsza Kadrowa nie wyruszyłaby z Krakowa do Kielc, w roku 1918 Piłsudski nie zostałby Naczelnikiem państwa polskiego, które może w ogóle by nie powstało – bo kompletnie zrusyfikowani Polacy już nie chcieliby mieć swojego państwa, zrezygnowaliby na zawsze ze swoich szkodliwych marzeń o niepodległości. Niepodległa Polska nie byłaby im do niczego potrzebna. Jest w tym jakaś nauka i dla nas, teraz bardzo aktualna. Rozmawialibyśmy sobie z Panią tutaj po rosyjsku – ale na jakiś inny, jakiś ruski temat. W roku 1895 nie ukazałoby się opowiadanie Żeromskiego „Rozdziobią nas kruki, wrony” – jedno z największych arcydzieł literatury polskiej – przerażająca, posępna analiza stanu polskiej duszy – opowiadanie, z którego Polacy dowiedzieli się wtedy, kim są oraz skąd się wzięli. W roku 1920 nie ukazałoby się „Lato leśnych ludzi” Marii Rodziewiczówny, wielki – najwspanialszy po „Panu Tadeuszu” – hymn ku chwale polskości. To wszystko by się nie stało, i jeszcze wiele innych rzeczy by się nie stało, bo nie byłoby pokolenia roku 1863 i cywilizacja polska nie odrodziłaby się, nie mogłaby się odrodzić dzięki krwi przelanej. Gdyby nie tych stu dwudziestu tam spalonych, a wśród nich Pani prapradziadek wujeczny. To dzięki nim jesteśmy teraz Polakami – może marnymi, może niegodnymi ich ofiary – ale jesteśmy. I tu jest właśnie ta nauka dla nas – teraz aktualna. Nie możemy pozwolić wewnętrznym Moskalom, żeby zawładnęli naszymi umysłami. Nie możemy dać im żadnej szansy – nawet jeśli krew znów musiałaby zostać przelana.

Czy to oznacza, że na serio uważa Pan, iż Polacy będą musieli stanąć przed perspektywą walki zbrojnej? Czy uważa Pan, że będziemy musieli wieszać naszych zdrajców, wewnętrznych Moskali? I że czeka nas jakiś rodzaj wojny domowej?

Ale Pani chce, żebym ja tu przyszłość przepowiadał, a ja tego nie potrafię. A nawet uważam, że teraz to nikt tego nie potrafi. O tym już mówiliśmy – nasz język nas zawiódł, pewnie zresztą z naszej winy – i nie mamy takich słów, przy pomocy których moglibyśmy skutecznie mówić o naszym losie – jak on będzie w przyszłości wyglądał. Błądzimy w językowym mroku, nie wiedząc dobrze, gdzie żyjemy oraz kim jesteśmy. Ja się trochę znam na przeszłości, na pewnych jej kawałkach, bo jestem z zawodu historykiem literatury – no, emerytowanym, ale jestem. I tylko patrząc w przeszłość, szukając w niej wskazówek, jakichś analogii do naszych obecnych przeżyć, naszej obecnej sytuacji, mogę odpowiedzieć na Pani dramatyczne (a i dość kłopotliwe) pytanie. Ale niejasno, bardzo niejasno, bowiem, nie wspominając już o przyszłości, która zagadkowo milczy, to i przeszłość nie przemawia do nas wyraźnie, nie artykułuje precyzyjnie swoich napomnień i wskazówek. Przeszłość przemawia symbolami, metaforami, jakimiś analogiami niejasnymi. Trochę jak poezja przemawia – bo bywa, że trochę bełkocze – nie wiedząc dobrze, co chce powiedzieć. Cóż więc mówi nam teraz, w swoim symbolicznym języku, przeszłość? Mówi, po pierwsze, że przelana krew to jest coś, co się narodowi opłaca – o tym już mówiliśmy w związku z Powstaniem Styczniowym. Z rozlanej krwi wyrastają nowe pomysły cywilizacyjne. Mówi, po drugie, że przelana wspólnie krew tworzy wspólnotę narodową – wprzód tworzy, a później jest jej spoiwem. I to też Powstanie Styczniowe dowiodło – to było wspólne przedsięwzięcie i wspólny bój szlacheckich synków, chłopców z dobrych domów i chłopców od warsztatów rzemieślniczych, ślusarzy, szewców i stolarzy. Warszawscy sztyletnicy, ci, co w 1863 zabijali zdrajców na ulicy, najdzielniejsi z powstańców, to była warszawska biedota. Ta wspólnota okazała się trwała, to przecież właśnie dlatego, że ona uformowała się w roku 1863, Piłsudski, który odziedziczył tę tradycję, mógł stać się w roku 1905 przywódcą robotniczym. A Solidarność przegrała, została spacyfikowana w grudniu roku 1981 właśnie dlatego, że nie udało się jej stworzyć nowej, trwałej, niezłomnej wspólnoty – krew nie została przelana albo przelano jej za mało. Przeszłość, nasza przeszłość narodowa, mówi, po trzecie, że jeśli chce się godnie istnieć, to trzeba coś, od czasu do czasu, tu, w naszych warunkach, między Moskalami a Prusakami – trzeba coś zaryzykować. Wszystkie nasze powstania – od Baru do Warszawy – to były imprezy ryzykanckie. Ja uważam, że na tym naszym ryzykanctwie nieźle żeśmy wychodzili. Nie ma wolności bez ryzyka, można nawet

powiedzieć, że wolność, sama w sobie, to straszne ryzyko. Dzikie ryzykanctwo. Taka jest więc – może trochę niewyraźna – odpowiedź przeszłości na Pani pytanie. Nawet jeśli wreszcie się okaże, że wewnętrznych Moskali jest tutaj więcej niż nas, to może przyjdzie taka chwila, a może przyjsć musi – że będziemy musieli trochę zaryzykować.